



21-09-2021

MAGDA BUKOWSKA

Jacek Pałkiewicz podróżuje reportersko od pół wieku. "Życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć"

Reporter, eksplorator, odkrywca źródeł Amazonki. Twórca survivalu w Europie i ambasador Polski na wszystkich kontynentach. Marzył, by zostać marynarzem - został dziennikarzem, bo wierzył, że to otworzy przed nim zamknięte granice PRL-u. W tym roku obchodzi 50 lat podróży. Jest co wspominać!

Magda Bukowska: W tym roku świętuje pan piękny jubileusz - 50 lat reporterskich podróży. To doskonała okazja, by zrobić mały przystanek i trochę wspominać. Od czego zaczęła się pana przygoda z podróżami?

Jacek Pałkiewicz: Już w szkole podstawowej z wypiekami na twarzy pochłaniałem lektury przyrodniczo-przygodowe. Utożsamiałem się z bohaterami walczącymi z przeciwnościami losu, stawiającymi czoła żywiołom. Marzyłem, by samemu ruszyć na morze i jak Marco Polo czy Odyseusz, przeżywać niezwykłe przygody, odkrywać inne kultury i przekraczać granice, które wtedy wydawały się nie do przekroczenia.

Myślałem, że zostanę marynarzem, ale nie przyjęli mnie do szkoły morskiej, bo okulista dopatrył się u mnie jakiejś wady oka. Wtedy zacząłem współpracować z redakcją "Kulisy". Wierzyłem, że dziennikarze mają otwarte granice, jednak okazało się, że w PRL-u najczęściej można było wyjeżdżać do krajów obozu socjalistycznego, a ja miałem w głowie Timbaktu, Bora Bora, Buenos Aires, Wyspy Komandorskie.

Dopiero mając 30 lat przedostałem się za żelazną kurtynę, dokładnie do Włoch. Byłem bez grosza, ale zdobyłem patent oficera pokładowego i przez dwa lata pływałem na statkach bandery panamskiej. Poznałem szmat świata, a reportaże z egzotycznych miejsc wysyłałem do Mediolanu. To otworzyło mi drzwi do liczących się gazet. W 1975 r. skończyłem szkołę dziennikarską i wkrótce znalazłem się w największym włoskim dzienniku "Corriere della Sera", a dokładniej, w jego dodatku ilustrowanym "Sette". Od tego momentu moja przygoda podróżnicza stała się profesją. Z nieukrywanym sentymentem oglądam dzisiaj tamte archiwa.



Które podróże były dla pana najważniejsze?

Przez pięć dekad kierowałem wieloma wyprawami w poszukiwaniu ginących cywilizacji, niezwykłych zjawisk i pięknych miejsc. Przecierałem szlaki na Borneo i Nowej Gwinei, na Saharze i Syberii. Pracowałem w afrykańskich kopalniach złota i diamentów. Podróżowanie stało się filozofią mojego życia. Pasją, która nadała sens mojej egzystencji. Ustalenie jakiegoś rankingu jest bardzo trudne. Każda podróż ma swoją specyfikę, pewną "wartość dodaną", która czyni ją niepowtarzalną. Zawsze trzymałem się maksymy myśliciela XIX wieku Ralpho Waldo Emersona: "Nie podążaj tam, gdzie wiedzie ścieżka. Pójdź tam, gdzie jej nie ma i wytycz szlak". Zaś od siebie dodawałem: Życie daje każdemu tyle, ile sam ma odwagę sobie wziąć, a ja nie zamierzam zrezygnować z niczego, co mi się należy.

To może zapytam inaczej, z których wypraw jest pan szczególnie dumny?

W 2013 r. władze peruwiańskie ustawiły obelisk z tablicą pamiątkową u źródła Amazonki, które zlokalizowaliśmy 17 lat wcześniej. Na Górze Quehuisha, na wysokości ponad 5 tys. m n.p.m., widoczna jest pamiątkowa tablica z inskrypcją: "Tu rodzi się Amazonka, największa rzeka świata. Ustaliła to w roku 1996 międzynarodowa wyprawa naukowa kierowana przez Jacka Pałkiewicza". Nie ukrywam jestem z tego dumny, a sama wyprawa była niesamowita.



Do źródeł Amazonki wyruszyliście ekipą, ale ma pan na swoim koncie także samotne podróże?

W 1975 r. postanowiłem przepłynąć ocean w roli dobrowolnego rozbitka. Mój samotny rejs miał dodać wiary i ufności ofiarom katastrof morskich i udowodnić, że mają szansę na ratunek, jeśli tylko się nie poddadzą.



Drewnianą, 5-metrową łódź ratunkową znalazłem w jednej ze stoczní złomowych w La Spezia. Podczas żeglugi miałem jedynie kompas i żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Zabrałem ze sobą tylko skromny, żelazny zapas wody i żywności, dlatego musiałem korzystać z tego, co ofiarował ocean. Zbierałem deszczówkę, łowiłem ryby i plankton. Nieraz wpadały do łodzi latające ryby, co owocowało sashimi.

50 LAT REPORTERSKICH PODRÓŻY JACKA PAŁKIEWICZA

CAŁA POLSKA CZYTA



<http://palkiewicz.com/>



I tak płynnie przeszliśmy do pana kolejnej pasji czyli survivalu.

Moja szkoła przetrwania powstała w 1981 r. we Włoszech i faktycznie dała mi mnóstwo satysfakcji. Dzięki niej miałem okazję pracować z ludźmi z całego świata, którzy musieli nauczyć się przeżyć w ekstremalnych warunkach - np. kosmonautami. Prawdopodobnie nigdy nie zostałbym zaproszony do współpracy z rosyjskim Centrum Szkolenia Kosmonautów, gdyby nie dramatyczne wydarzenie, jakie miało miejsce podczas powrotu na Ziemię Aleksieja Leonowa i Pawła Bielajewa.

Na skutek błędnej nawigacji, kapsuła wylądowała w syberyjskiej tajdze, tysiąc kilometrów od planowanego miejsca lądowania. Kosmonauci przez ponad dwie doby czekali w siarczystych mrozach na przybycie ekipy ratunkowej. Nie znali zasad, których należy przestrzegać w takich sytuacjach. Po tym wydarzeniu wprowadzono regulę, że każdy kosmonauta przed wylotem na orbitę musi przejść 48-godzinny staż survivalowy w tajdze, na morzu, w strefie polarnej i na pustyni. I do realizacji tego programu zaproszono właśnie mnie. W kolejnych latach zasad survivalu uczyłem też m.in. w jednostkach antyterrorystycznych różnych krajów.



Zdarzało się, że w czasie podróży - często przecież niebezpiecznych - bał się pan o swoje życie? Strach jest nieodłącznym kompanem w ekstremalnych sytuacjach. Nie jestem jednak bojaźliwy. Jak pisał Fiodor Dostojewski: "Tchórzem jest ten, kto się boi i ucieka, a ja się boję, ale nie uciekam". Swego czasu na pustyni Danakilskiej, na pograniczu Etiopii i Erytrei, uchodzącej za najokrutniejsze miejsce na Ziemi, słupek rtęci przekraczał codziennie 50 kresek. W południe czułem jak bucha mi w twarz obezwładniający ogień z pieca hutniczego. Miałem świadomość własnej nicości i czułem się żałośnie bezbronny. Śniłem o najmniejszym chociażby powiewie powietrza, a myśli ulatywały gdzieś do krainy zimna za kołem podbiegunowym. Ale, kiedy w kilka miesięcy później przemierzałem dziewicze połacie Syberii, fantazjowałem o saharyjskich wydmach.

Odwiedził pan najdalsze zakątki naszego globu i to w czasach, kiedy słowa "odległy" czy "niedostępny" miały zupełnie inne znaczenie niż dziś. Ale wiem, że jest pan także miłośnikiem Polski i trochę bliższych podróży.

To prawda, że przez ostatnie pół wieku wojażowanie zmieniło się radykalnie. Komputery, Internet, smartfony, niskobudżetowi przewoźnicy... To wszystko sprawiło, że dziś każdy może dotrzeć do Laosu, Ekwadoru czy na Filipiny i nawet nie opowiada znajomym o tych podróżach po powrocie, bo relacjonował je na bieżąco w mediach społecznościowych.

Tłumna turystyka zmieniła naszą planetę w globalną wioskę, a bogactwo lokalnej kultury zredukowała do stereotypów - folklorystycznych skansenów, gdzie trudno dziś znaleźć zapewniającą emocje autentyczność. Nie znaczy to jednak, że nie warto jej szukać. Także w Polsce.

Widziałem w życiu wiele niesamowitych miejsc, ale z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że Polska ma z czego być dumna. Jednym z absolutnie wyjątkowych klejnotów jest Kraina Wielkich Jezior, która w 2011 roku znalazła się w drugiej siódemce globalnego plebiscytu "7 Nowych Cudów Natury".

Zachwycające są też Puszcza Białowieńska czy Bieszczady. Z przyjemnością wspominam sptyw rzeką Krutynią przez Puszcę Piską. To jeden z najbardziej urokliwych szlaków wodnych w Europie.

Zaś Linda, moja żona jest zakochana w Łańcucie. Była tam kilka dni temu i zachwycona jest kolorami, tak ciepłymi, że aż słodkimi. Oczarowała ją też architektura i kolekcja starych powozów konnych. W Polsce naprawdę jest co zwiedzać i co odkrywać.